Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Nr. 3 (408). WARSZAWA, 21 stycznia 1928 r. ROK XXI



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

KONTO P. K. O.: „Centralny Związek Polskich Stow. Łowiec." 8082.
ADRES: NOWY - ŚWIAT 35. TELEFON 7-98

Pismo tygodniowe. Wychodzi w każdą sobotę

PRENUMERATA: zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15, za rok zł. 28. — Numer pojedynczy — 1 zł. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu — 50 gr.

CENA OGŁOSZEŃ: Za każdy milimetr 1-szpaltowy za tekstem 35 groszy, 2-szpaltowy 75 groszy; przed tekstem: 1-szpaltowy 50 gr., 2-szpaltowy 1.10 zł.; na karcie tytułowej 1-szpaltowy 70 gr., 2 szpaltowy — 1.50 zł.

Do Szan. PP. Prenumeratorów zalegających w opłacie.

Do następnego numeru załączymy raz jeszcze przekazy P. K. O. dla zalegających w opłacie prenumeratorów.

O ile nie otrzymamy pieniędzy w przeciągu tygodnia, to dalszą wysyłkę przerwiemy.

Do Szan. PP. Prenumeratorów nowoprzybyłych.

Zawiadamiamy, że nowa ustawa łowiecka w całkowitem jej brzmieniu i z artykułami omawiającymi ją, została wydrukowana w Nr. 30 „Łowca Polskiego". Numer ten nabyć można w redakcji. Pożądany jest pośpiech, gdyż numer ten jest na wyczerpaniu.

ADMINISTRACJA.

Do niniejszego numeru załączamy: Spis Rzeczy „Łowca Polskiego“ za rok 1927.

Magistrat m. Kleszczele, dn. 11 stycz. 1928 r. Nr. 132.

OGŁOSZENIE.

Na zasadzie uchwały Rady Miejskiej Nr. 43 z dnia 19. XI. 1927 r. i Nr. 50 z dnia 4. I. 1928 r. Magistrat ogłasza niniejszem, iż z dniem 1-go lutego 1928 roku, na okres 6 lat t. j. do 1-go lutego 1934 r. oddaje w dzierżawę do polowania, tereny łowieckie, składające się z gruntów prywatnych i miejskich miasta Kleszczele w pow. Bielsk-Podl., jako jeden rewir łowiecki, przestrzeni do 2.000 dziesięcin (w g statystyki) grunta orne, łąki, lasy, zarośla Nr. 7 ewidencji Starostwa.

Oddawane w dzierżawę tereny obfitują w zwierzynę i ptactwo, t. j. kuropatwy, kaczki, cietrzewie i t. p. oraz zające, lisy, wydry, borsuki, sarny, napływowe dziki i wilki.

Cena wywoławcza za cały sześcioletni okres wynosi zł. 3.000 „in plus“.

Reflektanci winni składać oferty, z opłatą kancelaryjną dwóch złotych, wraz z podaniem warunków w czasie do 30 stycznia r. b. i ze zobowiązaniem tej treści: „Ja niżej podpisany zobowiązuję się wpłacić na rzecz M-tu m. Kleszczele 10 proc. zaoferowanej przezemnie sumy, za dzierżawę terenu łowieckiego w Kleszczelach, w razie gdybym odmówił podpisania umowy (kontraktu) na dzierżawę tegoż: o warunkach dzierżawnych byłem uświadomiony“.

Specjalnych zastrzeżeń co do wykonywania polowania prócz ustawowych — niema.

M-t zastrzega wybór oferenta. Podania złożone po czasie, lub poza wymaganiami wskazanemi wyżej, nie będą brane pod uwagę.

MAGISTRAT KLESZCZELE.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.



W GÓRACH.

(Wspomnienie z Turkiestanu).

Początek roku 1918 był w Aschabadzie bardzo ciężki, gdyż głód dawał się wszystkim we znaki. Chleba nie można było dostać, wydzielano tylko za kartkami po ćwierć funta jakiejś substancji zielono-brunatnej, lepkiej, a ważkiej, która nosiła nazwę chleba. Z mięsem też było krucho, za bajońskie sumy można było kupić wędzony „boczek", przerośnięty zjełczałą słoniną. Pozatem głównym pokarmem był ryż. Jedliśmy więc ryż na słono, ryż na słodko, ryż na kwaśno, i znowu ryż na słono...

Po smętnej, pochmurnej i mglistej zimie, nadeszła wiosna w całej swej krasie. Zazieleniły się wspaniałe drzewa w ogrodach, rowy-aryki, sprowadzające do miasta wodę ze źródeł górskich, wezbrały i huczały przeciągłą nutą rwących nurtów. Rozśpiewało się drobne ptactwo, załopotały motyle nad otwartymi ku słońcu kielichami kwiatów.

A słońce wędrowało po niebie bez chmurki, śmiejące się dobrotliwie, ale już gorące, rozpalające się z dniem każdym coraz potężniej, grożące w niedalekiej przyszłości strasznym pożarem letnich upałów. Rumiane zorze wieczorne stały długo na niebie, barwiąc ciemnym fjoletem piaski pustyni, noce zaś były gwiaździste, aksamitne i ciepłe, pełne woni nieuchwytnydh, niesionych przez południowy wietrzyk ze stoków gór Kopet-Dagu.

Grzbiet górski błyszczał jeszcze w słońcu zimową bielą śniegów, zamglony u dołu zasłoną oparów, zawieszony, niby w powietrzu, na tle niepokalanego błękitu. Rano zaś, przed wschodem słońca, rozżarzał się w niewidocznych na dole promieniach i płonął cały, świecąc uśpionemu w ciemności miastu, jak pochodnia.

III nagroda na konkursie „Łowca Polskiego"



Piękny pokot. *Fot. Witold Ocetkiewicz.*

Przez protekcję pana Stanisława Bilkiewicza, dyrektora Muzeum Przyrodniczego w Aschabadzie, miałem wyrobione zezwolenie władz sowieckich na turecki karabin, pożyczony mi przez jednego ze znajomych, i myśl ma krążyła ciągle koło wycieczki w góry.

Ciągnęła mię tam cudna pora wiosenna, balsamiczne tchnienia rozkwitających łąk podgórskich i możliwość przygód łowieckich, spotkania ze zwierzem, i to niebylejakim. Niestety, przyznać muszę, że nietylko te piękne powody skłaniały mię ku

wycieczce, pchały mię prócz tego racje nader poziome i materjalne, — chęć zdobycia mięsa, dawno nieoglądanego przezemnie i przez szereg znajomych rodzin.

Bilkiewicz odradzał mi wyprawy, twierdząc, że jest jeszcze za wcześnie, śniegi w górach za wielkie: wskazywał na trudności dalekiej podróży pieszej, albowiem o zdobyciu koni w czasach owych nie można było marzyć.

Jednak niecierpliwość nie pozwalała mi czekać, więc przygotowałem wszystko niezbędne, jak ryż, sól, cukier, kociołek, busolę i nóż z piłką, zarzuciłem na plecy karabin i wyruszyłem w daleką drogę 10-go marca, na dwie godziny przed świtem.

Topografję gór znałem w grubszych zarysach z uprzednich mych wycieczek z przed półtora roku, nie bałem się więc zabłądzić, ale wiedziałem, że czeka mię trud nielada, 32 kilometry drogi podgórskiej, a potem chodzenie po górach w poszukiwaniu argali*) i koziorożców.

Szedłem więc równym krokiem, obliczonym na daleki dystans. Byłem koło Bagiru, gdy ciemne dotychczas niebo pojaśniało na wschodzie i zapaliła się na niem lekka błękitnooka jutrzenka, a wstępowałem już na pierwsze przedgórza, porosłe kwiecistym łąkowym dywanem, gdy nad daleki widnokrąg pustyni wypłynęła złocista tarcza słońca i zalała całą okolicę życiodajnym blaskiem.

Trafiłem na wąską ścieżkę, wiodącą w kierunku przezemnie pożądanym, i szedłem, wspinając się coraz wyżej. Trawa wokoło była coraz bujniejsza i coraz obfitsza w przeróżne kwiaty. Gdzieniegdzie przecinałem całe pola niebieskich prześlicznych krokusów, to znowu bujne kępy przepięknych oranżowych tulipanów, tu i ówdzie, jak smukła świeca, wznosiła okrągłą główkę na dwa metry wysoko dzika cebula.

Minąwszy kilka parowów i dolin, zacząłem wchodzić mozolnym krokiem, na odnogę głównego masywu górskiego, uwieńczonego potwornym zębem skalnym na najwyższym szczycie Duszaku. Pochyłość nie była spadzista, ale, porosła zeszłoroczną zwiędłą trawą, utrudniała wchodzenie, gdyż nogi wciąż się ślizgały. Trafiały się już tu pojedyńcze i małemi grupkami jałowce drzewiaste, zwane „arczą".

Wreszcie wstąpiłem na śniegi. Z początku były to niewielkie płaty, zlodowaciałe z wierzchu, odtajałe po brzegach i sączące w dół drobne strumyczki przejrzystej wody. Wyżej zaczęła się jednolita warstwa śnieżna, gdzieniegdzie twarda, gdzieindziej znów tak rozmiękła, że zacząłem grzęznąć po kolana.

Pot spływał z uznojonego czoła, niemiłosierne słońce wzbijało się coraz wyżej, prażąc żywym ogniem, więc zdjąłem kurtkę i szedłem w samej koszuli, co przyniosło mi natychmiastową ulgę, gdyż lekki wietrzyk chłodził mię i suszył.

O południu, po przebyciu około dwudziestu skalistych wąwozów z huczącymi na dnie, wiosennymi strumieniami, dotarłem do miejsca, skąd ząb Duszaku był wprost na południe, i zatrzymałem się na dłuższy popas. Z suchych gałązek arczy rozpaliłem mały ogieniek i posilałem się zimnym gotowanym ryżem.

Przebyłem lwią część drogi, czekała mię jednak jeszcze ciężka przeprawa przez liczne wąwozy, przecinające grzbiet Duszaku, chciałem się bowiem przedostać dalej na zachód, gdyż tam stoki góry obfitowały w zwierzynę, jak to mogłem skonstatować w czasie mych uprzednich wycieczek.

*) Baran górski — Ovis Vignei Varentzovi.

Po trzygodzinnym odpoczynku wyruszyłem w dalszą drogę. Opuszczałem się teraz ku dołowi po ledwo znacznym spadzie, ale o trzy kilometry dalej spadek zwiększył się i niebawem doszedłem znów do granicy śniegów.

Teraz dopiero wstąpiłem na właściwy teren łowiecki, zatrzymałem się więc i zacząłem pilnie badać wzrokiem okolicę. W dole pod sobą widziałem szaro-zielonkawą powierzchnię zboczy, porośniętych zeszłoroczną trawą i upstrzonych ciemnemi plamami drzew jałowcowych. Szare złomy skalne znaczyły linje wąwozów, ulubionych siedlisk koziorożców, mnie jednak więcej pociągały barany-argali, piękna zdobycz, pożądana zarówno dla wielkich kolistych rogów, stanowiących ładne trofeum, jak i dla bardzo smacznego mięsa. Barany zaś trzymają się na otwartej przestrzeni trawiastej, a przypuszczałem nawet, że teraz, na wiosnę można je spotkać raczej jeszcze niżej, w pasie świeżych traw.

Szedłem więc w dalszym ciągu ku dołowi. Wieczór nadchodził, słońce chyliło się ku zachodowi, cały długi dzień zeszedł mi na dotarciu do miejsca łowów. Zbliżała się chwila, gdy życiodajne słońce schowa się za góry, piętrzące się na zachodzie, trzeba więc było pomyśleć o wybraniu miejsca na nocleg.

Na stoku jednego z wąwozów znalazłem małą platforemkę, a tuż nad nią potężny pień arczy z grubą suchą odnogą. Zabrałem się więc do dzieła. Nałamałem gałęzi, potem z wielkim wysiłkiem nadpiłowałem suchy pniak, a wkładając drąg pomiędzy obie odnogi i posiłkując się nim, jak dźwignią, odłamałem suchą część.

Byłem więc zaopatrzony w paliwo. Zrzuciłem z góry na platformę cały zapas zdobytego opału i zeszedłem sam po stromiźnie skalnej. Rozpiłowanie drzewa na kloce zajęło mi jeszcze godzinę czasu, ale zato mogłem przyrządzić prawdziwą syberyjską nodję, zapewniającą ciepło ognia przez całą noc.

Zmierzch zapadł szybko i uczyniła się cicha, gwiezdna noc. Gdzieś w dole wąwozu zaczęły jęczeć i płakać szakale, ciepło, użyczone skałom przez słońce, ulatniało się prędko, a z góry od śniegów powiał chłód surowy.

Oparty plecami o skałę wąwozu, siedziałem przed ogniem, z oczyma, utkwionemi w jasne płomienie, strzelające ku górze i obejmujące chciwie suche bierwiona. Po posiłku wyciągnąłem się, jak długi, koło ognia, a ściana kamienna, odbijając ciepło ogniska, grzała mię w plecy.

Noc zeszła spokojnie. Zmęczony nużącą drogą, spałem twardo i obudziłem się zziębnięty, przy wygasłem do cna ognisku. Świtało. Na jasnem tle wschodu dojrzałem lecące ptaki i poznałem w nich górskie wrońce. Rozdmuchanie ognia i przyrządzenie herbaty zajęło mi godzinę czasu, to też jednocześnie z pierwszymi promieniami słońca, które wyjrzało z za gór, wyruszyłem na poszukiwanie zwierzyny.

Szedłem w dół i, im niżej schodziłem, tem więcej spotykałem świeżej trawy i kwiatów. Koło 10-tej dotarłem do brzegu gwałtownego spadu, prawie przepaści, otwartej w dół na przeszło kilometr. Tu zatrzymałem się i badałem dokładnie położone podemną zbocza.

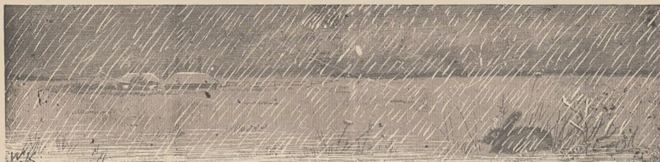
Na dnie przepastnej doliny, miejscami skalistej, miejscami zieleniącej świeżą roślinnością, wiła się, niby biała nitka, droga kołowa — wielki gościniec, idący z Geok — Tepe do Persji, a na nim widziałem pełznący zwolna, niewiększy od małego żuczka wóz, płótnem kryty furgon mołokanów*), wędrownych kupców.

*) Religijna sekta kościoła prawosławnego.

Zaraz też spostrzegłem zwierzynę. O trzysta metrów podemną stały na zrębie skalnym trzy sztuki koziorożców i patrzyły w dół, jakby i one się przyglądały podróżującym mołokanom. Położyłem się na krawędzi przepaści i patrzyłem z przyjemnością na cudny widok doliny, na zgrabne sylwetki koziorożców, z rozkoszą wdychałem aromaty ziół górskich, płynące na lekkich skrzydłach wietrzyka. Odeszły precz wszelkie troski, poczułem się lekki i wolny, jak ptak.

Wysoko nademną, błyszcząc bielą skrzydeł na tle błękitu, przeleciała para dropi, kierując się z pustyni karakumskiej ku Persji. Długo śledziłem okiem ich oddalające się sylwetki, zazdroszcząc niebosiężnego lotu i nieokiełznanej swobody.

(Dok. nast.). WŁODZIMIERZ KORSAK.



PIES MYŚLIWSKI.

MOJE WRAŻENIA Z WARSZAWSKICH POPISÓW WYŻŁÓW W POLU W DNIU 18 WRZEŚNIA 1927 R.

(Dokończenie).

„Norma" nie wykazała właściwych dla pointra chodów, nie pokazała stójki, co do niej więc żadnych sprzeciwów przeciwko orzeczeniu sędziów w sumieniu swem nie znalazłem. Jeśli chodzi jednak o te sprzeciwy, to nie mogę nie zauważyć, że według moich pojęć pokrzywdzono jeszcze „Azę" p. Kirchmajera. Tu znowu dziwne było zachowanie się samego właściciela, który prowadził psa na popisach i nie wiedział widocznie, czego mianowicie od psa tego wymagać będą. Przecież „Aza" jest najzupełniej w ręku u prowadzącego, można jej było z wielką łatwością nie pozwolić posuwać się po strzale za kurą, p. Kirchmajer jednak o tem widocznie nie wiedział i, nie powstrzymując swej miłej suczyny po strzale, dał możność zupełnego jej zdyskwalifikowania. Widzieliśmy chyba wszyscy karność „Azy" i pewien jestem, że gdyby po strzale kazano jej warować, padłaby „plackiem" bądź to przy podniesieniu ręki, bądź też przy rozkazie słowem, tego jednak nie uczyniono i „Aza", jedyna zda się polowa irlandka w Polsce, pozostała bez żadnego wyróżnienia, chociaż wykazała i chody, i umiejętność szukania, i węch, i stójkę, nawet, jeśli chcecie, i tresurę, to bowiem posuwania się za kurą po strzale, to nie wada tresury, to rezultat nieumiejętności kierowania psem.

A jednak... Gdy ruszyła do roboty „Agna", mu-

II nagroda na konkursie „Łowca Polskiego".



Aport. *Fot. inż. Adolf Czaykowski.*

siała ona narazie porwać widza stylowym swym, dużym bardzo chodem i buchającym, że się tak wyrażę, od niej ogniem temperamentu, to też idąc za nią z p. Świderskim, gorąco pragnęliśmy w swych myśliwskich sercach, by piękna ta suka bodaj raz jedyny zamarła na również pięknej, jak jej chody, stójce. Niestety! Agna rwie kury bez stójki i bez najmniejszego nawet zawęszenia, leci dalej bez sensu i sprawia wrażenie, że zadaniem jej pięknych i prawidłowych (sic!) chodów jest tylko bezcelowe, na nic nikomu niepotrzebne płoszenie zwierzyny. Zdumieni natomiast byliśmy zdolnościami tresera tej suki, które nota bene żywo bardzo odczuł niefortunny popis swej pupilki. Jak on zdołał opanować ten wściekły temperament psa, jak on zrobił to, że Agna przy całej bezsensowości jej gania jest całkowicie u niego w ręku, wykazując na każdym kroku apel i karność!

Cześć Ci, Panie treserze! Nie wyrobił Pan tylko stójki i węchu u swej elewki, może się Pan jednak pocieszyć, tego bowiem tresurą nikt chyba na świecie jeszcze nie wyrobił: z węchem i stójką pies winien się urodzić.

Robota drugiego setera „Aegisa", tegoż właściciela, jako robota psa myśliwskiego, była również żadna, z tą chyba różnicą, że „Aegis" nie wykazał ani chodów, ani też właściwego jego rasie temperamentu. Jak powinna wyglądać robota w polu należycie tresowanego psa myśliwskiego, pokazał nam w zupełności „Brydż" p. Łosakiewicza z Lublina. Pies ten według słów jego właściciela jest importowany z Anglji i pochodzi od pointrów, hodowanych specjalnie dla polowania i konkursów w polu, t. j. od psów, w których eksterjer jest na planie drugim. Chętnie wierzę p. Łosakiewiczowi, słowa bowiem jego znajdują potwierdzenie i w eksterjerze, i w robocie „Brydża". Eksterjer pozostawia dużo do życzenia, ogromne jednak zdolności polowe umiejętnie przytem wykorzystane w dobrej tresurze, czyniły „Brydża" psem polowym rzeczywiście doskonałym. Konkurował z tym „wyga", jak nazwał „Brydża" p. Czerski, „Rek" p. Stelińskiego, który w decydującej jednak, powtórnej próbie ustąpił palmę pierwszeństwa „Brydżowi", bijącemu go węchem.

Robota „Brydża" i robota „Agny" i „Aegisa", to właśnie ta ilustracja wyżej podanych twierdzeń, że tylko wystawy i konkursy polowe równolegle i umiejętnie prowadzone wydatnie sprzyjać mogą hodowli psów o należytym eksterjerze i prawdziwem uzdolnieniu polowem, idąc zaś w jednym tylko z tych dwóch kierunku, otrzymywać będziemy albo koncpowe „Agny" bez węchu i stójki, albo też doskonałe psy polowe o eksterjerze jednak dalekim nieco od rasowości i prawdziwego piękna.

Popracował widocznie i p. A. Brudnicki od czasu konkursu w Lublinie nad swoją faworytą „Nigrą", suka ta bowiem zaczęła już wykazywać zdolności polowe, a stopniowy jej rozwój w tym kierunku jest widoczny. Jeśli „Nigra" za rok pójdzie w polu dobrze, będzie to bardzo ciekawa matka, która od odpowiedniego ojca dać winna psy i polowe, i wystawowe pierwszorzędne.

Na zakończenie powiem, że los nam widocznie sprzyja, bo czyż dalibyśmy sobie rady, gdyby nie było wśród nas takich znawców wyżła i jego roboty, jakimi są pp.: A. Stolarow, W. Horodecki i B. Prichodźko? Są to prawdziwi amatorowie i myśliwi, którzy dużo w życiu swem i w zakresie kinologji i polowania widzieli i czytali i którzy ekspertyzami swemi na wystawach i konkursach mogą nas uczyć i do wielu rzeczy w tym kierunku zachęcić. Zapomniał tylko widocznie kochany mecenas Prichodźko, jak to wywnioskowałem z rozmowy z nim przed i po konkursach, że to nie lata 1910 i 1911, lecz czasy powojenne, kiedy mamy zbyt jeszcze szczupły materjał hodowlany i kiedy więcej winno chodzić o naukę i propagowanie hodowli pointra, czy setera. Stąd też, z tego zapomnienia płynie może źródło krzywdy „Pandura" i „Azy".

Wreszcie chciałbym zwrócić uwagę tak gości, jak i osób zainteresowanych, że asystowanie sędziom czy to na wystawie, czy na konkursach podczas narad sędziowskich winno być uważane za niedopuszczalne, jako mogące łatwo wywołać zbędne zupełnie komentarze, a czasami nawet narzekania.

A. OBNISKI.

POD ZNAKIEM ZAJĄCA

(Zob. Nr. 2). Dokończenie.

Pierwsze pędzenie rozpoczęto w lesie. Oto niski, sosnowy zagajnik, strzelcy rozstawieni pod nim nad polem. Tu nadarzyła się zaraz pierwsza sposobność okazania znajomości łowieckiej strategji. Ksiądz jegomość sięgnął do tylnej kieszeni po tabakierkę, zażył dobry niuch tabaki jeden i drugi, kichnął, czerwoną chustką otarł nos starannie, strzepnął resztki, te spadły na rewerendę, poprawił okulary na szeroko zakończonym nosie, i — czeka, co będzie dalej.

Panowie Karol, Jan i Juljan częstują się papierosami i kurzą mimo groźnych spojrzeń pana konsyljarza, który pojąć nie może takiej profanacji łowów. Pan Alfons strzelbę nabitą ściskając konwulsyjnie, stoi, jak żołnierz pełen wojennego — animuszu, a obok gruby pan mecenas bada teren; to schyla się aż do ziemi, to staje na palcach, przechyla się, w prawo i w lewo, przymierza strzelbę do twarzy, probuje, ciągnie nią po linji, skrada się do sąsiadów, odkłada broń i znów przykłada. Jeden tylko pan pułkownik, szanując godność swoją, stoi spokojnie z bronią na ramieniu. Wtem zagrała trąbka — sygnał, naganiacze krzyczą, uderzają kijami, iglaste gałęzie się poruszają. W tyle huknął strzał pierwszy, elektryzując wszystkich. Stoją jak słupy — nikt teraz o niczem innem nie myśli, jak o zającu. Panowie Karol, Jan i Juljan rzucają papierosy.

Nareszcie pomiędzy sosenkami ostro jedzie szarak. Pan Alfons jest tym wybranym; niestety, za rychło przyłożył. Zając robi klucz i wpada mecenasowi pod rurę. Kiepski strzał, — licha szkoła — według prawideł sztuki pryska ziemia tuż przed stałym graczem, — Skopyra miga, zdrów... Zręczny zwrot tłuściocha i dla odmiany pryska błoto za zającem. Tymczasem pułkownik spokojnie, z gracją, broń do policzka przykłada i zająca ruluje. Był to jedyny szarak z pierwszego pędzenia.

— Zające przy tem cieple leżą w polu, zaraz pomyślałem — zauważył gospodarz.

Drugie pędzenie założono w drągowinie podszytej, krzakami. Tam pokaże się dopiero sztuka strzelecka. Systemów jest mnóstwo: kocisko miga, więc prowadzi się strzelbą poprzez drągi i gdy żółto na ziarnie, ściąga się cyngiel, lub wyszukuje lukę i w nią pod ogniem wbiedz mu się daje; albo śmiało bez namysłu puszcza się strzał przed zającem — rzecz czucia! Oto kilka z tuzina różnych sposobów. Wytrawny myśliwy już dawno byłby wybór pomiędzy nimi uczynił; niedoświadczony maca, przerzuca się z jednego systemu do drugiego i pudłuje bez końca.

Naganka jest dobra; ze wszech stron lecą żółtoszare race przez gęstwinę. Eskulap, krótkiego wzroku, z okularami na nosie, ma specjalny system. Wyrozumiawszy niemożliwość uchwycenia kota po-



BROŃ I STRZELANIE.

KILKA RAD PRAKTYCZNYCH DLA KOLEGÓW MYŚLIWYCH.

Praktyka myśliwska jest bardzo skomplikowana i wymaga znajomości w różnych dziedzinach, jakie się na nią składają. Przedewszystkiem broń, jej wybór, konserwacja, sposób użycia, dalej teorja strzelania, następnie pies legawy, ubranie myśliwskie, sposób zachowania się na polowaniu i tyle innych szczegółów, — wszystko to wymaga specjalnej wiedzy, do której dochodzimy po części własną praktyką, a przeważnie korzystając z wiedzy i doświadczenia innych. To też w różnych literaturach zagranicznych spotykamy mniej lub więcej obszerne poradniki, zawierające praktyczne wskazówki w wymienionych powyżej dziedzinach. Angielska literatura posiada bardzo cenne dziełko założyciela znakomitej firmy puszkarskiej i wynalazcy odtylcówek myśliwskich, Karola Lancaster'a p. t. „Sztuka strzelania i polowania"[1]). Jeszcze przed ukazaniem się tego dziełka w naszym języku, opublikowano w 1899 roku „Listy" Ralph'a Hallwey'a,[2]) obejmujące zbiór rad i przepisów postępowania dla myśliwych. Nie wątpię, że w języku niemieckim, francuskim i innych, znajdują się podobne podręczniki. Ja, mając już wówczas dwudziesto-letnią praktykę myśliwską, opublikowałem w „Kalendarzu Myśliwskim" Ronczewskiego z 1900 r. „Poradnik dla myśliwych", w którym starałem się podzielić z czytelnikami szeregiem rad i przepisów z mej własnej karjery myśliwskiej zaczerpniętych. Przeglądając obecnie ten mój elaborat, spostrzegłem, że pomimo 27 lat różnicy — niewiele da się ująć z owego poradnika, a również bardzo mało trzeba będzie do niego dodać. Gdy więc z jednej strony cały nakład owego „Kalendarza" jest od dawna wyczerpany, a gdy jednocześnie przyszła zupełnie nowa warstwa myśliwych, pomyślałem sobie, że usunąwszy niektóre przestarzałe dziś rady, a dodawszy gdzieindziej nowe, przyczynić się można do ułatwienia młodszym, a w części i starszym myśliwym szybszego poznania wielu arkanów z praktyki myśliwskiej.

[1]) Karol Lancaster, Sztuka strzelania i polowania, tłumaczył J. S. Nakładem „Łowca Polskiego". Warszawa, 1905 r. (wyczerpane).

[2]) Ralph Hallwey „Listy do młodych myśliwych" w opracowaniu Wład. Słonczyńskiego („Jeździec i Myśliwy". 1899 r.).

Broń.

Broń jest najważniejszym sprzętem w inwentarzu myśliwego i dlatego każdy powinien dołożyć jaknajwiększych starań przy wyborze swej towarzyszki polowań, jak i jej konserwacji.

Wybór broni. Przy wyborze broni pierwszym punktem do omówienia, jest jej **cena**. Dzięki

---

między drągami, wyczekuje korzystnej okazji, gdy tenże przycupnie, lub stanie słupka — co niekiedy się wydarza — a do nieruchomego objektu jest on strzelcem nielada. Wszystkie inne koty puszcza się płazem. Tym razem poszczęściło mu się położyć w ten sposób dwa zające. Jeden z sąsiadów, nie zauważywszy tak niewyszukanego fortelu, posyła mu nawet za tę imponującą sztukę głośne „brawo".

Tymczasem drugi sąsiad, mecenas, pogardzając podstępem, śmiało pali w łeb każdemu nadarzającemu się kotu, nabija i — pudłuje.

— Jak pan to robisz, panie doktorze, pyta się po skończonej nagance; ja przecież też się znam cokolwiek na strzelaniu, ale w tych chróstach...

— Rzecz badrzo prosta, panie sędzio, prowadzę i ściągam; co mnie obchodzą chrósty. Sprobuj pan tylko, to nie trudno...

— Ależ doktorze, to śmiechu warte. Ja także prowadzę, ale cóż? Rób co chce, głowę susz, a tu nic, ani rusz!

— Strzelać trzeba z rzutu — zauważył inny — albo... albo...

— Także już probowałem...

Oj te zające! te zające... niechby je...

— Panowie — przerywa spór gospodarz — 150 strzałów, a 25 zajęcy, wstyd — wstyd! doprawdy!

Ogólny protest, a pan pułkownik stawia się sztorcem.

— Postaw dobrych strzelców, na dobrych stanowiskach — a nie...

— Zupełnie słusznie odzywa się chór, jakby na dany znak wszystkich oczy zwracają się na pana Alfonsa i mecenasa, jakgdyby z ich strzelb wyszło owo 125 pudel.

— Może pan otworzysz kurs strzelecki, panie pułkowniku, zauważył złośliwie mecenas, zapisałbym się z przyjemnością. Potrzebnych zajęcy dostarczyłbym w danym razie.

— Tylko jednego byłoby potrzeba, kochany panie sędzio, z tym mielibyśmy miesiąc do czynienia.

Trąbka gospodarza przerwała te rozhowory.

— „Idziemy w pole — zrobimy kociołek".

— Jaki to kociołek? — pyta się zcicha sąsiada świeżo upieczony adept św. Huberta, przysłany przez tatusia z miasta w zastępstwie.

— Nie znasz pan kociołka?

— Przyznam się, że...

— A...., panie, to pyszne polowanie, a tak proste. Wkopuje się w środku polowania wielki kocioł i w niego wpędza się wszystko co żyje. Koty zbite gromadą kręcą się, jak kluski w ukropie. Myśliwi stoją w koło i palą jak kulą w płot. To ogromna przyjemność!...

Twarz pana Adolfa się rozjaśniła.

W ten sposób dojdzie i on do celnego strzału.

Zatoczono wielki krąg — ograniczony z jednej i z drugiej strony laskiem, na dalekim widnokręgu

ulepszonym środkom fabrykacji, broń, szczególniej śrutowa, dosięgła dzisiaj możliwie niskich cen, przy względnej doskonałości. Obecnie możemy kupić za kilkaset złotych strzelbę, wcale dobrze bijącą i względnie trwałą. Obok tego istnieją jeszcze bronie, dosięgające nadzwyczaj wysokich cen, bo stu kilkudziesięciu funtów szterlingów, czyli 6000 — 7000 zł. Nie będę się tu rozwodził, czy takie drogie bronie zarówno w strzale, jak i w wytrzymałości o wiele wyżej stoją od strzelb tańszych. Broń, że tak powiem „rasowa“, zawsze będzie miała znaczną wyższość nad strzelbami tańszemi: strzał z nich będzie doskonalszy i zwłaszcza wytrzymałość nieporównanie wyższa, a to dlatego, że materjał i wykonanie w broniach drogich, jest o całe niebo lepsze.

Dla nas najważniejsza jest kwestja, jaką broń należy kupować: tanią, czy drogą? Otóż co do tego, wyrobiłem sobie następujące zdanie: myśliwy, strzelający średnio lub miernie, powinien unikać kupowania broni drogiej, chyba że jego środki pozwalają na to bez robienia mu różnicy. Przeciwnie, doskonały strzelec powinien się starać o broń jaknajbardziej rasową i gdy na to ma środki ograniczone — ująć sobie nawet na innych przyjemnościach, aby tylko dlatego, że materjał i wykonanie w broniach droga broń opłaci mu się zawsze, bo mu przetrzyma parę innych, tańszych, a prawdziwą satysfakcję mieć będzie, robiąc strzały dalekie i trudne, gdyż według mnie, w tym punkcie właśnie leży cała różnica, jaką między doskonałym a miernym strzelcem robić należy: pierwszy robi strzały dalekie, zwykle do boku, więc bardzo trudne, a tylko droga broń stanie na wysokości jego strzelania. Przeciwnie myśliwy, strzelający miernie, strzela zwykle (i nie powinien strzelać dalej) w promieniu 30 do 40 kroków (mówię o broni śrutowej), a do tego wystarczy mu strzelba średniej ceny.

Drugim punktem do przedyskutowania jest k a l i b e r broni. W tym razie widzimy częste wahania, idące z prądem mody. Był czas, że używano bardzo cal. 14 i bodaj, że wspomniany powyżej Charles Lancaster nie robił broni innego kalibru. Potem przyszła moda na cal. 16, który z kolei wyrugowany został przez cal. 12. Wreszcie przyszedł okres na modny cal. 20, forytowany zwłaszcza przez Rosjan, dzięki potężnej reklamie, jaką tej broni robił Iwaszczencow. Powoli jednak praktyka wykazała, że grubsze kalibry mają przewagę nad mniejszymi i dziś niemal w powszechnem użyciu jest cal. 12. Za probierz w tej kwestji niech nam służą wszystkie standy do strzelania do gołębi, gdzie używa się cal. 12-go tylko dlatego, że grubszych kalibrów prawidła nie dopuszczają. A wszak tam każdy strzał może stanowić o setkach tysięcy franków wygranych lub przegranych, nie mówiąc o ambicji oraz materjalnych korzyściach samego strzelającego. Pamiętam, jak nam opowiadał sławny francuski piżonista, Journu, zwycięzca w Grand Prix du Casino w Monte Carlo, że na 1-go lipca zamknął rachunki dochodem 250.000 fr. przedwojennych, zatem olbrzymią sumą 500.000 zł. w pół roku. Journu — jak i inni piżoniści — strzelał z cal. 12-go. Przecież, gdyby widział korzyści ze strzelania mniejszymi kalibrami, toby ich używał.

Tu jednak muszę zrobić jedno zatrzeżenie, a mianowicie co do oddania, czyli kopnięcia strzelby (r e c u l), które przy cal. 12-ym jest znacznie silniejsze, aniżeli np. przy 20-ym. Otóż wiele osób przy gęstem strzelaniu nabawia się od tego kopnięcia tak zwanej „migreny strzeleckiej“ (m i g r a i n e d e s t i r e u r s). Jasne jest, że tacy myśliwi powinni używać mniejszych kalibrów, choćby nawet 20-go. Tymi też kalibrami posługuje się wiele osób — i słusznie — podczas letnich polowań na błotach lub na kuropatwy ze względu, że cal. 12 jest przy chodzeniu, nieraz całodziennem, za ciężki. Muszę tylko zrobić uwagę, że małe kalibry wymagają bardzo dokładnego strzelania, co stanowi m i n u s przy posługiwaniu się nimi przez miernych strzelców.

Sprawa r o d z a j u l u f (dziwerowe, czy stalowe) została dziś ostatecznie zlikwidowana, gdyż zaprzestano zupełnie fabrykacji luf dziwerowych, mimo, że taki autorytet, jak lord Walsingham[a]) orzekł się

[a]) Lord Walsingham, cytowany w dziełku Lancastra, zabił jednego dnia 1070 grous'ów, czyli pardw szkockich — wszystkie pędzone nagankami. Jest to nadzwyczajny rekord, grous bowiem leci z ogromną szybkością.

---

wioska tworzy zamknięcie złowieszczego koła. Idą rzędem — strzelec — naganiacz — strzelec — naganiacz. Ozimina, koniczyna, podory. Dzień ciepły, tam leżą z pewnością, tłumaczy pan pułkownik.

Ale i mecenas kalkuluje nie bez słuszności, że, jeżeli kiedy, to teraz nadeszła chwila nasycenia się „krwią“ zajęczą.

Choćby tylko jednego trafić — myśli sobie w skromności ducha — a wszystko odzyskamy! Dwa pomknęły na 100 metrów, — kipią — piasek kurzy się za nimi — ani marzyć. Gdyby tak jednego w kotlinie podpatrzeć... Zbawienna myśl przychodzi mu do głowy.

— Chłopcze!

— ??

— Słyszysz? złoty za każdego kota.

Wyrostek połknął ślinkę; idzie, ślepie wytrzeszczył, ledwo mu ze łba nie wylezą.

— Proszę pana, — tu! tu!

— Gdzie?

— W bróździe leży, — ady go!...

Rzeczywiście, coś brunatnego leży.

Mecenas kurczy się, podchodzi; tylko trzy sekundy, jeżeli dotrzyma...

— Linję trzymać, panie mecenasie! linję trzymać! — woła pułkownik.

— Teraz nie można już dłużej zwlekać — buf! W szarym kłębie zakotłowało się, grzebie się coś, ucieka. Mecenas pędzi jak huragan, mknie podnieconny tylu niepowodzeniami, wytęża ostatnie siły w nogach; dopędził, chwycił pożądliwymi palcami niewinną ofiarę, zając kulazi, śmiga skokami, ale mecenas w srogim tryumfie rzuca go najbliższemu naganiaczowi, wołając: „Weź go!“ Równocześnie jednem okiem zerka z zadowoleniem na pułkownika, chcąc na marsowem obliczu wyczytać wrażenie z pomyślnego wyniku.

Nareszcie jeden!...

Tymczasem eskulap — zazdrosnem okiem śledzi niezwykłe powodzenie sąsiada. Próżno wypatruje kotlin. Koty rwą w prawo — w lewo — niepodobna nic obliczyć. Pędzą to wprost — skośnie, to w tył, przykrywając się słuchami; wszelka mądrość balistyczna na nic. Strzały idą raz za krótko, to znów za wysoko; ziemia pryska z przodu, z tyłu. Żadne prawidło nie dopisuje, wszelki system tu za nic. Obliczenia, spokój, wszystko głupstwo — pudła i pudła.

Słońce ukryło już swe purpurowe oblicze poza lasami, gdy ukończono ostatni kocioł. Co się przebiło, uratowane na ten rok i cieszy się z „ułaskawienia“ przez fryców.

Kilka tygodni później rozpoczną się znów na tem polu śmierci, w promieniach wiosennego słońca, miłosne zaloty — i praca zabiegliwa około rozmnożenia i wypełnienia nowych kociołków. Oj, oj, te zające!

WŁADYSŁAW JANTA-POŁCZYŃSKI

stanowczo za wyższością luf dziwerowych i nawet u niektórych strzelb swoich kazał zamienić lufy stalowe na dziwerowe. Zarzuty, jakie ten sportsmen robił lufom stalowym, były dwojakiego rodzaju: 1-o lufy stalowe przy detonacji dają głos silniejszy i dźwięczniejszy, co może być nieprzyjemne dla osób, bojących się huku; i 2-o lufy stalowe nagrzewają się znacznie szybciej, aniżeli dziwerowe, co jest rzeczą ujemną, szczególniej dla osób, które polują na nagankach bez rękawiczek. Ja dodam od siebie, że nawet przy strzelaniu gęstem i rękawiczki nie pomagają, gdyż przez nie, nagrzane lufy parzą ręce i po pewnym czasie wypalają dziury.

(C. d. n.). JAN SZTOLCMAN.

W PECZORSKICH PUSZCZACH.

(Zob. Nr. 1).



Ś. P. WACŁAW NOWACKI.

Łoś stanowi przedmiot pożądań wielu myśliwych, rozległych powierzchni Archangielskiej gubernji z wyjątkiem powiatu Pinczeskiego, w którego lasach zachował się jeszcze w znacznej liczbie. Wspaniałe to zwierzę ukazuje się znów na większych obszarach dalej ku południowi — w lasach gubernji Wołogodzkiej. Wilki i tutaj sprawiają wiele spustoszenia narówni z miejscowymi myśliwcami, którzy zachęceni dużym popytem na skóry, szerść i rogi łosia, nie mówiąc już o mięsie, tępią te zwierzęta w barbarzyński sposób, zapędzając je na nartach, szczególniej ku wiośnie, w głębokie śniegi, gdy te nie są już w stanie utrzymać tak wielkiego ciężaru, i myśliwi zakłuwają je wtedy nożem, gdy śmiertelnie znużone łosie padają pozbawione sił. W ten sam sposób polują krajowcy na Uralu na kozły.

Wracając do wilków, dodam, że zuchwalstwo tych zwierząt jest czasem niesłychane. Niedawne to czasy, gdy wilk wpadł za jadącym saniami podróżnym, przy którym biegł pies, do Cholmogor i w środku miasta, z przed samego budynku pocztowego, porwał nieszczęsne stworzenie, zarzucił na kark i bezkarnie zbiegł.

Jeszcze ciekawszy epizod opowiadał mi miejscowy pop. Przed paroma laty, podczas bardzo silnych mrozów, w pogoni za jakimś czworonogiem wpadł do niego w obejście, położone na skraju miasta, wilk. Energiczny i śmiały batiuszka, zoczywszy przez okno zwierza, nie namyślał się długo, lecz podkasał ryzę, schwycił kij w rękę, wyskoczył z domu i puścił się w stronę opryszka, który na widok zbliżającego się niebezpieczeństwa, rzucił się do ucieczki. Podwórzec był ogrodzony wysokim parkanem i wilkowi do odwrotu pozostała tylko ta droga, którą się tutaj dostał, a więc furtka, do której też skierował się wyciągniętym galopem. Pop, mając drogę krótszą, a chcąc drapieżnika za wszelką cenę dosięgnąć, rwał jak wicher, spóźnił się jednak o pół długości i widząc, iż zwierz się wymyka, wyciągnął rękę i zatrzasnął furtkę, chcąc wroga przytrzymać. Cios jednak okazał się cokolwiek spóźnionym i w rękach zziajanego popa znalazł się jako trofeum wspaniały, puszysty ogon, pokazywany wszystkim z dumą jako dowód, stwierdzający prawdziwość opowieści.

Wilka tego upolowano w następnym roku i myśliwiec-włościanin wystąpił do popa z pretensją o zniszczenie skóry, żądając zwrotu ogona, lecz krewki batiuszka dał mu taką odpowiedź, iż fortunny łowca dodałby chętnie własny ogon, gdyby go posiadał, aby tylko gniew jego uśmierzyć.

Nie mam bynajmniej zamiaru podawać w wątpliwość prawdziwości tego zdarzenia, tembardziej, iż było o niem głośno, ze względu na osobę bohatera, nietylko w Chołmogorach, lecz nawet poza granicami powiatu; naogół jednak lepiej z rezerwą wysłuchiwać niektórych opowieści, pamiętając, że nawet bardzo poważni uczeni i podróżnicy lubią czasem puścić się na blagę. Brehm naprz. opisuje jakiś nadzwyczajny wypadek, który mu się przytrafił podczas polowania na jelenie, czy też antylopy. Następnie ten sam wypadek i nawet w tych samych słowach przeczytałem w książce słynnego łowcy i hodowcy dzikich zwierząt, twórcy i właściciela parku zoologicznego Stellingen pod Hamburgiem, Karola Hagenbecka, pod tyt. „Zwierzęta i ludzie", w której autor przytaczając powyższy wypadek, zaznacza, że zdarzył mu się na łowach w Afryce. I nakoniec po raz trzeci przytacza to zdanie jeden z więcej znanych podróżników-myśliwych, jakiś magnat austrjacki, którego nazwisko wyszło mi już z pamięci. Zdaje się, na podstawie powyższego, można było być pewnym, że wypadek powyższy przytrafił się rzeczywiście, lecz temu czwartemu, nieznanemu myśliwcowi, który opowiedział o nim Brehmowi, a od tego z kolei interesujący opis został zapożyczony przez dwu następnych.

Droga między Archangielskiem a Pinegą, z wyjątkiem górzystego powiatu Chołmogorskiego, ciągnie się jednostajnie brzegiem Dźwiny i, następnie, Pinegi, lub też korytami tych rzek i nie obfituje w malownicze widoki; to też odbyłem ją z możliwą szybkością.

Do Pinegi przyjeżdżam z niewielkiem opóźnieniem, gdyż, pomimo, że jarmark rozpoczyna się oficjalnie 6 grudnia st. st., tranzakcje zawierane są już od 4-go. Skórek zwierząt futerkowych na tym jarmarku zazwyczaj mało. Sezon polowania rozpoczyna się zaledwie w końcu listopada, gdyż w tym czasie dopiero włos, tak zwana „ość" i sierść osiągają pełną długość i gęstość i najwięcej cenią się skórki zwierząt, zabitych od grudnia do lutego. W marcu skórka zaczyna się już psuć, z wyjątkiem niedźwie-

dzia, którego futro nie traci na wartości do ostatnich dni czerwca. Właściwy więc jarmark na futra, nie wyłączając zresztą innych towarów, odbywa się dopiero w drugiej połowie lutego w tejże Pinedze; w grudniu zaś tranzakcje odbywają się przeważnie na ryby, ikrę czerwoną, masło, jarząbki, pardwy, sierść renifera i t. d. z jednej strony, a także na różne produkty rolnicze, towary kolonjalne i włókiennicze — z drugiej. Towary na te dwa jarmarki dostarczane są ze wszystkich powiatów, z wyjątkiem kolskiego z powodu przedewszystkiem przerwy zimowej w komunikacji, nawet z najodleglejszego Peczorskiego, łącznie z Irmą na południu i Pustonierskiem na północy, a więc z odległości do tysiąca kilometrów. Dostawa tych towarów końmi stanowi bardzo ważną pozycję w budżecie miejscowych włościan, którym np. kupcy uśćcyleńscy płacą za towary eksportowane po 1 — 1.50 rb. za pud, za dostarczone z Pinji w powrotnej drodze od 80 kop. do 1 rb. w zależności od stanu drogi, co stanowi poważny zarobek, zważywszy, że jeden woźnica „jamszczyk" daje sobie swobodnie radę z czworgiem sań i takąż ilością koni.

(C. d. n.). WACŁAW NOWACKI.



Przegląd prasy zagranicznej.

NOWY POTRZASK.

W niemieckiej prasie myśliwskiej opisują nowo wynaleziony potrzask, który zastępuje obecne żelaza talerzowe, będąc od nich o wiele lepszy.

Wynalazca uzyskał patent na ten nowy potrzask. Szczegółowy jego opis zająłby nam za dużo miejsca. Dajemy przeto tylko w ogólnym zarysie zasady ulepszonego przyrządu.

Dotychczas stosowano różne inne przyrządy, jak samotrzaski, pułapki skrzynkowe i t. zw. szyje łabędzie, najczęściej jednak żelaza talerzykowe. Tamte bowiem znane już były oddawna w różnych postaciach, ale ze względu na ich braki, jak trudność ustawienia, małe zabezpieczenie od wiatru i t. d., nie były tak powszechnie używane, jak żelaza talerzykowe, do których myśliwi ostatecznie zawsze powracali.

Wady tego przyrządu usunięte zostały przez odpowiedni wynalazek podpułkownika Fryderyka Zandera. Wynalazek ten pod postacią potrzasku może mieć zastosowanie przy łowieniu wszystkich zwierząt drapieżnych.

Zaznaczyć przytem należy, że zachodzi różnica między budową pułapek dawnych a obecnych, polegająca na tem, że obecnie „płyta dusząca" nie opiera się, jak poprzednio, na drewnianej podstawie, lecz wisi na drucie.

Wynalazca daje opis użycia swego przyrządu: Potrzask ten składa się z dźwigni ciężarowej, w której otworze umieszcza się hak z ciężarem pułapki, czyli z płytą duszącą, z dźwigni stojącej i dźwigni ściągającej, z której prowadzi hak, przechodzący przez środek płyty i zaopatrzony na końcu zanętą. Zanęta umieszczona być musi tak, aby zwierzę, chwytające ją, w chwili poruszania mechanizmu, znajdowało się też w środku pod płytą. Potrzask rozpina się w ten sposób, aby dźwignia ciężarowa opierała się na stojącej, która znów w chwili, gdy wejdzie we wgłębienie dźwigni ściągającej, do tego specjalnie przeznaczonej, podtrzymywana jest przez dźwignię ściągającą. Przyrząd zaopatrzony jest w dwa bezpieczniki: jeden ma na celu ochronę dźwigni ciężarowej, nie pozwalając na spadek ciężaru, kiedy dźwignia ta opiera się na bezpieczniku; umożliwia on też po usunięciu drugiego bezpiecznika wypróbowanie, w jakim stopniu czuły jest aparat ściągający. i zbadanie granicy obciążenia bez potrzeby każdorazowego zawieszania ciężaru pułapki. Drugi bezpiecznik zabezpiecza dźwignię ściągającą; stosując go, zamyka się w ten sposób mechanizm całkowicie.

Zamiast zanęty używany być może schodek, podszyty mchem i posypany dla niepoznaki ziemią. Sposób ten jednak jest możliwy tylko wtedy, jeżeli niema mrozu, podczas gdy zanęta ma zastosowanie bez względu na pogodę. Przewiercenie słupa, znajdującego się na ziemi pod płytą, sprowadza ruch sznurka ściągającego, który skutkiem tego pochyla coraz bardziej dźwignię ściągającą potrzask.

Autor opisuje doświadczenia, dokonywane z potrzaskiem. Próby dały dobre wyniki. Robiono je w różnych miejscach, z różnemi zanętami. Pierwsze próby dokonane zostały w lasku przy pomocy płyty duszącej rozmiarów 60 cm. kw., zawieszonej na 40 cm. nad ziemią i obciążonej kamieniami. Próba ta początkowo nie udała się, czego dowodem były wpadające w pułapkę ptaki, z powodu zbyt słabego umocowania dźwigni ściągającej na stojącej, która nie podtrzymywała jej należycie skutkiem zbyt małego wgłębienia w dźwigni ściągającej. Dopiero po wypiłowaniu wgłębienia próba dała dobry wynik. Z czasem, gdy płyta okazała się za małą, przykrywając tylko głowę i szyję złapanego w ten sposób psa podwórzowego, powiększono płytę do rozmiarów 1,10 m. kw. Nieraz łów okazywał się chybionym. Pułapki, podpierane z jednej strony, z wróblami jako przynętą, umieszczane niedaleko wsi, łowiły tylko koty, a nie pożądane kuny, które wychodziły na żer później, w momencie, kiedy potrzask był już zamknięty. Przeniesione zaś do odległego wąwozu ze swobodnie wiszącą płytą dawały znów dobry połów.

Nieudane połowy powodował też nieraz silny wiatr, lub źle wyrównana ziemia, w której wgłębieniu złapane zwierzę znalazło dość miejsca, aby się wydostać z pułapki. Przerwę w łowach wywołał raz odwiatr złapanego tchórza, którym przesiąknął grunt pod pułapką, skutkiem czego zwierzyna nie przyjmowała nastawionej w tem miejscu zanęty. Należało więc skopać tu grunt i nawieźć innej ziemi.

Dobry wynik dawały pułapki, stawiane w gąszczach, gdzie postępowano w następujący sposób: na połów wybrano miejsce, gdzie rozwidlał się rów, cią-

gnący się przez tę okolicę, a używany zawsze przez zwierzynę jako drogę. Prócz tego umieszczono pułapki także niedaleko krańców rowu i wyrównano grunt należycie. Jako zanęta służyły resztki ryb, których zapach uchodził do rowu. Ziemię skopano, aby nadać temu charakter kretowiska. Płyty zawieszono na 30 — 40 cm. nad ziemią, na wysokości najniższych konarów.

Dokonywano też połowu w podwórzach folwarcznych z dobrym wynikiem. Autor udziela wskazówki, w jaki sposób ruch sznurka ściągającego, prowadzącego przez płytę, uczynić wolnym od tarcia, które spowodowane jest przysypywaniem pułapki ziemią lub chróstem. Należy więc przeprowadzić ten sznurek przez drewnianą rurkę, za którą może służyć gałąź bzu po usunięciu z niej miękiszu.

Użycie potrzasku odznacza się następującemi zaletami: 1) Dzięki temu przyrządowi pełne zastosowanie znajdują pułapki ze swobodnie wiszącą płytą, które też okazują się lepszemi od płyt, opieranych z jednej strony, ze względu na to, że szybko spadają, zabijają zwierzynę natychmiast i przykrywają ją całkowicie, nie dając możności ucieczki. Ich wada polega tylko na zbytniem uleganiu działaniu wiatru, czego uniknąć można przez odpowiedni wybór drzew, na których się płyty zawiesza, oraz przez umieszczanie 4 d utow na rogach płyty w formie przekątnych, które utrzymują płytę nawet przy wietrze.

2) Pułapki te przy należytem ukryciu ich nie wpadają w oczy, a więc nie podlegają łatwo kradzieży i obrabowaniu ze zdobyczy; ze względu na lekkość, potrzaski grają dużą rolę przy ożywionych łowach, gdyż nie sprawiają żadnej trudności w noszeniu choćby ich dużej ilości, a więc pozwalają po zwabieniu zwierzyny zaraz je zdejmować i nie dopuszczają zniszczenia przyrządu.

3) W przeciwieństwie do żelaz talerzowych użycie potrzasku wyklucza połów zwierzyny użytecznej; jest wygodne dla łowca, który, zajęty innemi sprawami, nie potrzebuje śpieszyć się na miejsce połowu, gdyż zwierzę złapane w potrzask, jest nieżywe i całkowicie przykryte płytą.

4) Połów zdziczałych psów i kotów odbywa się spokojnie, nie sprawiając kłopotu i przykrości dla otoczenia, w przeciwieństwie do połowu przy pomocy żelaz talerzowych.

5) Zastosowanie potrzasku oznacza postęp w łowieniu, które dotąd używało dla swych celów przyrządów mniej humanitarnych.

MYŚLISTWO WILHELMA II.

Z dzieła: „Wilhelm der Zweite" p. Emila Ludwiga. Według: Eulenburga, Zedlitz-Trützschlera, Tirpitza.

...Szczęśliwszym, niż w sprawach dworskich, bywał Wilhelm w poczynaniach swych dotyczących polowania... Jakkolwiek tereny jego główne, najpiękniejsze lasy w Niemczech, Rominten, własnością były państwa, nie korony, na życzenie cesarza, sto tysięcy morgów pierwotnej, dziewiczej kniei, pełnej rzek i jezior, zamienionem zostało na szachownicę pociętą linjami i dostosowaną do szablonu, jakiego wymaga obława, który to rodzaj polowania, Wilhelm lubujący się w zabijaniu dużych ilości zwierza, a nie w pokonywaniu trudności związanych z prawdziwem łowiectwem, przekładał nad wszystkie inne... Mobilizowana była wówczas armja cała personelu: pieszo, konno, w pojazdach i na rowerach, dzięki czemu, podczas polowań dworskich, zakątek każdy kniei strzeżonym być mógł surowo.

Pozatem, w zaciszach pełno było ambon, zasłon i utrzymywanych starannie ścieżek. Przykro było patrzeć na wspaniały las zamieniony na prowadzony sztucznie park myśliwski. Eulenburg, który na polowaniach dworskich bywał często, powiada: ...Polowania były wstrętne. Mordowanie biednego zwierza pozbawionego wszelkiej możności ucieczki i ocalenia, za zabawę królewską uważanem być nie może. Na dworze zresztą nie rozumiał nikt, dlaczego potrzebnem być ma „dla chwały króla" strzelanie przez „wysokich myśliwych" do nieszczęsnego zwierza, zamkniętego w ogrodzeniu i, do upadłego, pędzonego w koło, aż padnie ostatnia sztuka, lub ciężko ranna, włóczy się, zanim zostanie dobitą. Ponieważ chodziło o masę i zwierz pędzonym bywał odpowiednio, cyfry osiągane przez cesarza, wysokości dosięgały fantastycznej. W ciągu trzech grudniowych dni polowania u księcia Donnersmarck, Wilhelm zabił 1675 sztuk, co pozwoliło wystawić, już w 43 roku życia cesarza, blok granitowy, na którym złotemi głoskami wypisane stało: „Tutaj w Majestacie swym cesarz Wilhelm II zabił najwyżej własnoręcznie swą (allerhöchst seine) 50.000 kreaturę, białego koguta bażanta". Ani domyślał się twórca pomnika, ile napisem takim, choć nieśmiertelnym, ugodził innych „kreatur" Wilhelma. Częstokroć wysoki nemrod stosować się zwykł był do obyczajów zwierza. Wzywany kiedy ryczały jelenie, rzucał obowiązki swe w Berlinie i jechał do Rominten, gdzie odbierał raporty i załatwiał sprawy państwa. Przyjeżdżając z referatem, po którym przemawiać miał nazajutrz w parlamencie, Tirpitz, zmuszony wracać jedynym pociągiem, jaki odchodził w ciągu dnia do Berlina, uprzedzał łowczego, który odpowiednio kierował polowaniem cesarza...

Pod zielonym sztandarem.

KOMENTARZE DO NOWEJ USTAWY ŁOWIECKIEJ.

Ukazało się praktyczne wydanie nowego prawa łowieckiego z obszernymi i szczegółowymi komentarzami w opracowaniu Juljana Ejsmonda i Stanisława Błonarowicza. Cena 1 zł. 50 gr. Zamawiać można za zaliczeniem pocztowem u redaktora naszego pisma p. J. Ejsmonda. Warszawa Plac Trzech Krzyży 12.

Z POLESIA.

Jeden z najlepszych i najzasłużeńszych myśliwych poleskich, kryjący się pod pseudonimem Poleszuka wydał niedawno „Erotyki myśliwskie z poleskich kniei p. t. „Władco Poleskich mszarów! czy żyjesz ty jeszcze?" Na tomik opowieści składają się: „Podsłuchy na stołecznym bruku", „Wab w ludzkiej kniei", „Wyprawa", „U celu — na Polesiu", „W mszarach z Antonem", „Łoś — nieczysta siła", „Głos mają Żulik i Bielka", „Ostrówki — marszem żałobnym zakończone", „Rykowisko jeleni. Dziki. Spazmy damskie" „Licentia poetica i odwrót", oraz „Rekapitulacja".

Zgadzamy się z Autorem, gdy nam mówi we wstępie:

„Polesie ma swój urok i ponęty czarów,
gdy mgły spowiją łąki i bezbrzeża mszarów,
gdy głuszec zatelęka przed słońca świtaniem...

Śledzimy z ciekawością polowanie Poleszuka na łosia, rysia, dziki, kozły oraz na — Warszawiankę. Ta ostatnia zdobycz, choć na początku książki strzelona, zdaje się, na komorę, pociąga za sobą najuciążliwsze trudy łowieckie.



Z MAŁOPOLSKIEGO TOW. ŁOW.

Na posiedzeniu zarządu Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie, p. prezes Juljusz hr. Bielski oświadczył, że nowa ustawa łowiecka ujednostajnia stosunki prawne łowieckie w całem Państwie, reguluje dobrze stosunki łowieckie w niem, a istniejące jeszcze luki lub niejasności dadzą się łatwo usunąć przez dobre rozporządzenie wykonawcze. Należy się przeto głęboka wdzięczność tym, którzy do wydania tego aktu legislatywnego się przyczynili.

Dla przestudjowania rozporządzenia i zdania o niem sprawy na następnem posiedzeniu, wybrano komisję, w której skład weszli pp. C. Czarkowski-Golejewski, A. Mniszek, dr. Małaczyński, A. Sander i M. Chrzanowski.

Z WIELKOPOLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLIWYCH.

W poniedziałek dnia 9 stycznia r. b. odbyło się na sali Wielkopolskiej Izby Rolniczej nadzwyczajne walne zebranie Wielkopolskiego Związku Myśliwych z udziałem delegatów pow. i sympatyków, w celu omówienia palącej sprawy sprowadzania żywych zajęcy z zagranicy dla odświeżenia krwi oraz omówienia nowej ustawy łowieckiej. Przy obecności około 130 uczestników, zebranie zagaił prezes Związku, p. pplk. rez. Konstanty Chłapowski, witając przybyłego w zast. p. wojewody p. radcę Radońskiego, senjorów łowiectwa Wielkopolskiego oraz wszystkich obecnych słowami „cześć i chwała św. Hubertowi". W dalszym ciągu swego przemówienia podkreślił znaczenie nowej ustawy łowieckiej, która jako piękny podarek gwiazdkowy, budząc radość w sercu każdego myśliwego, dekretem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej ogłoszoną została w grudniu u. r.

Po przyjęciu porządku obrad przystąpiono do najuroczystszej chwili zebrania, t. j. do wręczenia nagród dzielnym leśnikom za schwytanie kłusowników. Nagrody w postaci dyplomów i kordelasów honorowych z napisem: „Za odwagę i gorliwe spełnianie obowiązków" otrzymali: sekretarz leśn. p. Józef Zemło i pom. leśn. p.Konrad Zieliński, z nadleśnictwa Rychtal. Następnie przedstawił prezes obecnym katastrofalny zanik zajęcy, a przytaczając fakty, udowodnił, że w łowiskach, w których żywe zające dla odświeżenia krwi były sprowadzane, zające są, czego dowodem obfite rezultaty polowań, apelował do obecnych o poczynienie odpowiednich wkładów celem podniesienia zanikających u nas zajęcy oraz całego łowiectwa jako jednej z ważniejszych gałęzi naszego gospodarstwa krajowego. Następnie prezes podał jeszcze sposoby wysadzania żywych zajęcy, poczem sekretarz Związku, por. rez. Kostro, obznajmił obecnych z cenami i warunkami sprowadzania oraz przedstawił obecnym według spisu nazwiska właścicieli łowisk oraz liczbę przez nich sprowadzonych resp. zamówionych zajęcy, która dzisiaj dochodzi już do 2000. W dłuższej i ożywionej dyskusji na temat powyższy poruszono jeszcze sprawę wymiany zajęcy w kraju za pomocą chwytania ich sieciami. Brak jednak odpowiednich sieci oraz przyrządów, których koszta nabycia są bardzo wysokie, uniemożliwia tego rodzaju postępowanie. Równocześnie poruszoną też została sprawa sprowadzania bażantów i kuropatw.

Po zakończonej dyskusji przedstawił prezes obecnym znaczenie wprowadzonych rozporządzeniem Ministerstwa Rolnictwa i Spraw Wewnętrznych delegatów powiatowych dla spraw łowieckich, którzy mają za zadanie zakładanie Kółek Łowieckich i rewirów ochronnych, opinjowanie wniosków o wydanie kart łowieckich, rewizję kart łowieckich na polowaniu, kontrolowanie handlu zwierzyną, wreszcie werbowanie członków do Związku oraz prenumeratorów organu Związku „Łowca Polskiego", a w szczególe przestrzeganie zasad prawidłowego łowiectwa na terenie powiatu. Na temat wydawania kart łowieckich wyłoniła się dłuższa dyskusja, w której dał odpowiednie wyjaśnienia p. radca Radoński. I tu okazało się, że litera prawa nie jest dostosowana do życia, ponieważ nie są uwzględnione dla nabywców kart myśliwskich egzaminy z umiejętności obchodzenia się z bronią, oraz ze znajomości zasad prawidłowego łowiectwa. We wszelkich zawodach połączonych z narażeniem bezpieczeństwa publicznego, przedewszystkiem zaś od szoferów, wymaga się egzaminu ze znajomości maszyny i umiejętności prowadzenia wozu. Od ludzi, mających do czynienia z bronią palną, tego się jednakże nie wymaga.

Następnie przystąpiło zebranie do omówienia nowej ustawy łowieckiej, która jest bardzo dobra, posiada jednakże pewne niedomagania. Ze względu na to, że do ustawy tej nie zostało wydane jeszcze odpowiednie rozporządzenie wykonawcze, zwróciło się zebranie do zarządu Związku, ażeby ten, po dokładnem rozpatrzeniu ustawy łowieckiej, odpowiednie poczynił poprawki i odniósł się do Ministerstwa Rolnictwa o uwzględnienie ich w rozporządzeniu wykonawczem. W tym też celu zwrócił się p. prezes z apelem do obecnych, ażeby każdy, kto ma jakiekolwiek zastrzeżenia co do nowej ustawy łowieckiej, o tem doniósł zarządowi Związku najpóźniej do 1 lutego r. b., a zarząd po rozpatrzeniu tychże odpowiedni wystosuje memorjał do Ministerstwa Rolnictwa.

W wolnych wnioskach wniósł p. nadleśn. Nowak o spowodowanie zamknięcia polowania na zające w roku bież. ze względu na poważną ilość sprowadzonych zajęcy dla odświeżenia krwi. Wniosek ten postanowił zarząd wziąć pod uwagę, poczem p. prezes dziękując obecnym za tak liczne przybycie słowami „Cześć Myśliwym", salwował zebranie.

WARSZAWSKI ZWIERZYNIEC MIEJSKI.

Na ostatnim posiedzeniu Rady Miejskiej w Warszawie p. prez. Słomiński w obszerniejszem wyjaśnieniu zaznaczył, że w przeddzień pożaru odbyło się w magistracie posiedzenie, na którem postanowiono przeprowadzić gruntowną sanację w administracji ogrodu zoologicznego, uznając istniejący stan rzeczy za niezadowalający. Magistrat postanowił mianowicie zaprosić do współpracy w zarządzie ogrodu zoologicz. w charakterze doradców, przedstawicieli różnych organizacji naukowych i pedagogicznych, m. in. Tow. naukowe warszawskie, Tow. im. Kopernika, Tow. anatomiczno-zoologiczne, Tow. przyrodnicze, ogród zoologiczny w Poznaniu, wydział weterynaryjny i in. Prezydjum magistratu przyznaje, że istotnie, stan rzeczy w zwierzyńcu pozostawiał wiele do życzenia. Na zaniedbanie niektórych spraw w zwierzyńcu wpłynęły w pewnym stopniu zmiany w organizacji magistratu. Ze względu na możliwość istnienia złej woli u sprawcy katastrofy, sprawa skierowana będzie, niezależnie od postępowania dyscyplinarnego, do władz prokuratorskich.

W zakończeniu swego przemówienia, p. prezydent zaznaczył, że Zwierzyniec w Parku Praskim, pomyślany jest

również jako czasowy, gdy w planie przyszłej Wielkiej Warszawy zwierzyniec ten pomieszczono w zamienionym na wielki park, lasku Bielańskim.

Po wyjaśnieniu prezyd. Słomińskiego, nikt z radnych głosu już nie zabrał i budżet przyjęto bez sprzeciwu w sumie 95.000 zł. W budżecie tym przewidziane jest uposażenie dla zaangażowanego już fachowca, który kilkadziesiąt lat pracuje w tym zakresie.

Na zaproszenie p. prezydenta miasta, ogród zoologiczny na terenie Parku Praskiego zwiedzili: dziekan szkoły głównej gospodarstwa wiejskiego i prezes Tow. przyrodniczo-pedagogicznego, dr. F. Staff; prof. uniwersytetu warszawskiego i prezes Tow. anatomów i zoologów, E. Loth; profesorzy uniwersytetu warszawskiego, dr. Stefański i dr. Roszkowski, profesorzy wolnej wszechnicy polskiej dr. Błędowski i A. Czartkowski, prof. szkoły gł. gosp. wiejskiego dr. J. Sosnowski i wielu innych. Zwiedzający zapoznali się z planem ogrodu, jego urządzeniami, stadjum budowy, stanem zwierząt itd. Wyjaśnień udzielali: kierownik ogrodu prof. W. Burdzyński, prof. dyr. L. Danielewicz, oraz członkowie zarządu ogrodu. P. prezydent miasta zamierza odbyć konferencję z wymienionymi uczonymi. Przedmiotem konferencji ma być współpraca przyrodników polskich w dalszym rozwoju ogrodu zoologicznego w Warszawie.

WIADOMOŚCI MYŚLIWSKIE.

Zamknięcie polowań. — W powiecie Staro-Samborskim władze zamknęły polowania w gminach: 1) Posada Chyrowska, 2) Stochyme, 3) Felsztyn, 4) Posada Felsztyńska, 5) Laszki Murowane i 6) Grodowice.

Wyścigi psów w Warszawie. — Niedawno podawaliśmy o zawiązaniu się komitetu organizacyjnego wyścigów psów w Warszawie. Obecnie dowiadujemy się, że wyścigi te odbywać się będą na stadjonie „Legji".

Ze strzelnicy Sport. Klubu Strzel. W dniu 8 stycznia odbyły się zawody strzeleckie zespołów warszawskiej chorągwi harcerskiej. Zawody te liczą się jako pierwsza runda zawodów o mistrzostwo chorągwi.

Koło samopomocy gimn. Św. Stanisława ufundowało przechodnią nagrodę strzelecką im. ś. p. Bagniewskiego, która rozegrana zostanie w styczniu r. b.

W Nowym Sączu podczas zawodów strzeleckich w konkursie na odległość 300 metrów I nargodę zdobyli kapral Wiśniewski, st. sierż. Klimkowski (uzyskując 840 p.), kapitan Stec (141 p.), podpor. H. Muck. W strzelaniu z pistoletów na pierwsze miejsce wysunęli się por. Stachowiak i kap. Nalepa. W strzelaniu na 300 m. pp. Uhl i dr. Zieliński. W strzelaniu myśliwskiem najlepsze wyniki uzyskał znowu dr. Zieliński, dając celny dublet do ruchomego dzika. W strzelaniu pań z flobertu uczestniczyło 14 strzelczyń.

Redaktorzy: **Jan Sztolcman i Juljan Ejsmond.** Wydawca: **Centralny Związek Polskich Stow. Łowieckich.**

Opowieści myśliwskie JULJANA EJSMONDA p. t.:

„W PUSZCZY“

Z przedmową Józefa Weyssenhoffa.

Nakładem Gebethnera i Wolffa.

„Nad nieliczną grupą myśliwych poetów góruje dzisiaj Juljan Ejsmond. Ejsmond podobnie jak Kipling, usiłuje przeniknąć tajemnice dusz zwierzęcych, choć wcale inną metodą dochodzi do swych celów. I, jak Kipling, unika antropomorfji. Jest to pierwsza próba tego rodzaju w piśmiennictwie polskiem.

Ejsmond nie naśladując bynajmniej Kiplinga, pisze tu w jego duchu — jakby wyjawiał nam zwierzenia podsłuchane, czy otrzymane od dzikich bestyj. Biegły wywiadowca wszedł w puszczę polską i dał nam poznać nowe jej dziwy“...

JÓZEF WEYSSENHOFF (w „Przedmowie“).

„Iluż to myśliwych wśród nas obudził Weyssenhoff swoim „Soboliem i panną“? Ilu ich obudzi obecnie Juljan Ejsmond swoją najnowszą książką p. t. „W puszczy“?.. Weyssenhoff porównywa Ejsmonda z Kiplingiem.

Opowiadania Ejsmonda są proste. Przyzwyczajeni do łamańców stylowych i do baroku językowego prozaików współczesnych, odpoczywamy na tych stronicach, oddychając nietylko przesyconem ozonem powietrzem leśnem, pełnem aromatów żywicy i smółek pachnących, lecz biorąc w siebie także krzepiący spokój pięknego, pełnego równowagi i harmonji słowa, które umie oddać zarówno powab przyrody, jak i grozę dramatyczną sytuacji, w jakiej znajduje się dzikie, kochające wolność zwierzę, tropione przez człowieka“...

ZDZISŁAW DĘBICKI

(w „Kurjerze Warszawskim“, 10 XI 27).

„Autor „Sobola i Panny“ i „Puszczy“, jak nikt inny, odczuł niezwykłe czarodziejstwo ostatniej książki Ejsmonda, której cudowna proza pachnie wszystkiemi aromatami dziewiczej przyrody.

„Do naszej modnie zurbanizowanej literatury Ejsmond wniósł ożywczy, radosny powiew dzikich borów. Odczuł dusze zwierząt, jak nikt dotąd. Dotarł do tajemnic lasu i podpatrzył je z miłością i zachwytem. Książka „W puszczy“ jest wydarzeniem w literaturze. „Soból i Panna“ i „Puszcza“ Weyssenhoffa i „W puszczy“ Ejsmonda to trylogja ku chwale ojczystej przyrody i jej cudów“.

„KURJER PORANNY“ 14 XI 27.

„Juljan Ejsmond zdołał zdrowiem, tężyzną, ożywczością swych natchnień stać się niby oaza w pustyni śród młodej generacji piśmiennictwa naszego.

Książka Ejsmonda stanowi w literaturze polskiej ewenement. Autor uderza w niej w całkiem nowe struny i to nietylko swej własnej twórczości: cykl ten jest w dobytku całego naszego piśmiennictwa nowym, oryginalnym pomysłem.

Poeta ze zdumiewającą wnikliwością odkrywa odruchy i drgnienia „duszy“ i „serca“ zwierzęcego. Charakterystycznym jest refren, że niema tej siły, któraby mogła przemódz odwagę i bohaterstwo zwierząt poza podłością, złością lub zdradą ludzką.

Co do budowy dzieła, to budzi podziw organiczna łączność tych krótkich obrazków. Stanowią one dramatyczną całość w której stale napięcie rośnie, by wreszcie osiągnąć najwyższy stopień grozy w niebywale realistycznej, końcowej opowieści „Kara“.

Mówiąc o artyzmie i doskonałości formy, należy zwrócić uwagę na zdumiewającą ekonomję słów. Niema w tej porywającej prozie śladu „literatury“.

Ejsmond wciąga czytelnika w zaczarowany krąg nieuchwytnych wrażeń, bliższych może sferze tajemnych dźwięków muzycznych, niż realnych dźwięków ludzkiej mowy“.

JULJUSZ WERTHEIM

„Epoka“ 27 XI 27.

„Juljan Ejsmond, jako pisarz, posiada dwa zasadniczo różne oblicza. Jedno — to uśmiechnięta dobrotliwie, lecz ironicznie twarz bajkopisa. Kpi w żywe oczy, szydzi zjadliwie nieraz, lecz zawsze wytwornie. I ta właśnie wytworność stawia go na czele współczesnych satyryków i ironistów, każe go cenić i szanować.

Lecz kiedy się wyrwie z okręgu „kultury“ współczesnego życia i zarzuciwszy strzelbę przez ramię, pójdzie leśnemi, wiadomemi tylko wybranym, ścieżkami, po których chadzał tylko przemiły kot z bajki Kiplinga, lub też wielcy koledzy Ejsmonda — Cooper, London, Kipling — ukazuje drugie, głębsze oblicze. Znika gdzieś sarkastyczny, złośliwy uśmieszek, gasną w oczach chochliki ironji, a twarz powleka zaduma i melancholja — Ejsmond staje się poetą, poddającym się całkowicie pieśni, śpiewanej przez przyrodę, ulegającym jej czarowi i potędze piękna.

Opowiadania te są bardzo ciekawym wynikiem przewrotu duchowego, kiedy myśliwy, pod wpływem działania głosów przyrody, przemienia się w czułego i bacznego obserwatora.

Cykl myśliwsko-przyrodniczych opowiadań celuje nad całą dotychczasową literaturą polską w tej dziedzinie tem, iż zasadniczym jego tonem jest głębokie odczucie piękna, wrażliwa reakcja na głos natury i drobiazgowa, psychologiczna obserwacja“.

JAN SOKOLICZ WROCZYŃSKI.

„Rzeczpospolita“ Nr. 325 z 1927 r.

„Styl jest prosty, jak puszcza, którą Ejsmond maluje, i piękny, jak ona. Są tam tony subtelnego nastroju, są mocne i potężne, jak piorun. Ogromne zalety jędrnego i plastycznego języka Ejsmonda przy świetnej znajomości wszystkich tajników puszczy, sprawiają, że dla ludzi, wirem życia współczesnego przemęczonych, książka ta staje się wytchnieniem i budzi ożywczą tęsknotę do zapoznanego świata dzikiej, pięknej, a w pierwotności swej wspaniałej Przyrody“.

„KURJER POZNAŃSKI“ (23/XII 27 r.).

„Ejsmond odzwierciadla w mistrzowsko odmalowanych obrazach panującą w naturze tak samo, jak wśród ludzi, walkę o byt. Głęboki sentyment szczerego miłośnika przyrody wieje z każdej kartki tego dzieła, niewielkiego rozmiarami, ale wielkiego gorącością uczucia i współczucia oraz świetnem znawstwem życia zwierząt. Pyszna forma tych nowel zniewala od pierwszych zdań i przykuwa uwagę, nie pozwalając oderwać się od książki, dopóki nie doczytamy ostatniego jej słowa“.

„GAZETA BYDGOSKA“ 25 XII 27 r.

„Wydana świeżo książka znakomitego tłumacza poetów staropolskich, świetnego bajkopisarza Juljana Ejsmonda, p. t. „W puszczy“, nastrojem swoim odbija od produkcji współczesnych prozaików: brak w niej zupełnie wszelkiej modnej obecnie sztuczności i chorobliwości. Opowiadania Ejsmonda napisane są sercem. Sercem się kierując, potrafił Ejsmond odkryć w zwierzętach serce i duszę, zdolne nieraz do szlachetniejszych uczuć, aniżeli serce i dusza człowieka. Oto geneza tych przecudnie pięknych i głęboko wzruszających opowieści o sercu zwierzęcem.

Ta serdeczna solidarność, to jakby utożsamienie się z obserwowanym i opisywanym światem przyrody, jest najpiękniejszą, rewelacyjną stroną książki Ejsmonda. Temu zawdzięcza ona swą prawdę i bezpośredniość, swą świeżość i siłę, a przedewszystkiem swój urok żywiołowej, niezakłamanej fałszywym patosem, poezji.

Ejsmonda łączy z Dygasińskim serce, to czujące i miłujące serce, którego nie dostawało intellektualiście Kiplingowi. Stąd o ile „Księga dżungli“ dumnego syna Albionu będzie nas mogła zawsze interesować, o tyle opowiadania Ejsmonda muszą nas wzruszać potęgą promieniującego z nich uczucia. Sercem bowiem można tylko do serca przemawiać. A z Ejsmondowych „opowieści o sercu zwierzęcem“ przemawia do nas żywe serce ludzkie, serce poety!

Jednak nietylko znakomitym obserwatorem i głębokim poetą okazał się autor „W puszczy“. Jest on również mistrzem prozy polskiej. Jego krótkie, pełne dramatycznego napięcia oraz wewnętrznej dynamiki opowiadania, pisane są stylem zwięzłym, o możliwie najprostszej więźbie zdań i czystem a niewyszukanem słownictwie. W zwięzłości tej kryje się ich mężna krzepkość, w prostocie świeżość, łącząc się razem w wyraz prawdziwego artyzmu“.

RAJMUND BERGEL.

„Polonia“ (Katowice) 24 XII 27.

„Ostatnia książka Ejsmonda jest prawdziwym poematem, poświęconym puszczy i jej życiu. Z sercem przepełnionem głęboką miłością zbliża się autor do wnętrza krain przepastnych.

Kto, jak niegdyś ów „święty biedaczek“ Franciszek z Assyżu w każdem stworzeniu widzieć będzie brata, ten zdolny będzie poznać niezgłębione puszczy tajemnice. Takich jednak ludzi jest mało, bo mało wśród ludzi jest prawdziwej miłości, bez której nie można poznać tajemnic serca przyrody. Ejsmond jest człowiekiem wybranym.

Całe ukochanie przyrody wlał w szereg tych przepięknych obrazków, które tchną prawdą i znajomością życia puszczy, a pisane są językiem pełnym prostoty, a jednak jakże bardzo pięknym!“

„KURJER ŁÓDZKI“ 11/XII 27. K. Ożóg.

Zakł. Druk. P. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15.